

W PUSTYM, suchym i smutnym wnętrzu siedzi przy stoliku młoda kobieta. Jest ubrana w długą prostą spódnicę, jaką nosiły sufrażystki pod koniec XIX wieku i bluzkę z żabotem. Jest sama. Wobec kilkuset dziewcząt zebranych na widowni. Dziewcząt, które noszą w roku 1966 króciutkie spódniczki i często — zgodnie z modą — bluzki z takimi samymi żabotami. Dziewczęta pracują w Zakładach Radiowych imienia Róży Luksemburg, zwanych w Warszawie po prostu „Różą”.

Jest rok 1898. Dwudziestosiemioletnia Róża Luksemburg wyjechała z Polski, gdzie przez kilka lat działała w SDKPiL. Ma za sobą błędy. I ma osiągnięcia stawiające ją, już wtedy, w szeregu wybitnych teoretyków ruchu robotniczego. Rozpoczyna pracę w potężnej Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Jest sama. Nie ma wokół siebie już bliskich przyjaciół. Ma w zapasie gorzkie i trudne doświadczenia, wiele przeczytanych książek i ogromny zapał. Zapał, który sprawi, że stanie się ona w przyszłości sztandarową postacią światowego ruchu robotniczego.

Oddana bez reszty teoretycznej i praktycznej działalności partyjnej,



Róża Luksemburg zamyka całe swoje własne życie, cały krąg swoich marzeń i kobiecych wzruszeń w listach. W listach pisanych co dzień. Czasem nawet kilka razy dziennie. Pomędzy artykułami, pomiędzy przemówieniami i brulionami rozpraw, które urosną kiedyś w grube tomy. Staną się obiektem polemik, rozważań i naukowych komentarzy.

Jej życie osobiste zawikłało się w sposób zupełnie przedziwny. Wyjeżdżając do Niemiec skazała się na rozłąkę z najbliższym sobie człowiekiem — Leonem Jogichesem-Tyszka, działaczem — jak ona — SDKPiL, a później SPD. Rozstała się z nim. Po to, żeby wyjechać do Niemiec i zdobyć niemieckie obywatelstwo, umożliwiające jej pracę partyjną na tamtym terenie, wychodzi fikcyjnie za mąż za Gustawa Lübecka. Rzuca się w wir pracy. Rozpoczyna od razu od bezkompromisowej walki z czołowym teoretykiem niemieckim Leonem Bernsteinem. Wierzy, że musi zwyciężyć. Że musi odegrać wielką rolę w ruchu robotniczym. A przecież wątpli. Jest kobietą. Chciałaby mieć swoje własne, zwyczajne życie: „Wieczór, w łóżku, w obcym mieszkaniu, wśród obcego miasta poczułam się trochę malodusznie i pomyślałam sobie w najgłębszym zakątku duszy: czyby to nie szczęśliwiej było zamiast takiego awanturniczego życia gdzieś sobie w Szwajcarii z Tobą we dwoje cicho żyć i korzystać z młodości, cieszyć się sobą... Jestem zwyczajny kot właśnie, który lubi się pieścić i drugich pieścić, mruczy, jak mu dobrze i miauczy, jak mu źle... Czy Ty masz pojęcie, jak ja Cię kocham?... Swoje małe mieszkanie, swoje mebelki, swoją bibliotekę, cichą i regularną pracę, spacerować razem...”

Kobieta marząca o swoim ukochanym i o cichym mieszkanku ma w sobie wściekłą wprost wiarę we własne możliwości: „Teraz jestem pewna, że za rok będę należała do najlepszych mówców partii. Głos, swoboda, język — wszystko mi dopisuje, idę tak spokojnie na trybunę, najslabszego pietra nie czuję... Czuję wyraźnie, że dojrzałam wewnątrz, czuję potrzebę powiedzieć coś wielkiego... chcę i będę dobijać się jak najwpływowszego stanowiska w ruchu... Wiem, że za rok, dwa zajmę jedno z pierwszych stanowisk w partii...”

Życie, codzienne i zwykle, toczy się w koło dalej. Drze się jedyna spódnica. Berlińska aktywistka SPD broni swojej kobiecości „Bardzo mi się podoba, że piszesz, żebym nie kupowała żakietu bez Ciebie, bo kupię diabli wiedzą co! Jeżeli moja samodzielność ma starczyć na to, abym się obracała na własną rękę na politycznej arenie, to musi starczyć i na to, abym sobie sama żakiet kupiła!... podczas letniego dnia włóczę się po prostu po przedmieściach Berlina... bez celu, żeby tylko gapić się i życie wdychać...”

Ta sama kobieta siedzi w jeszcze bardziej obcej i pustej więziennej celi. Nie pisze już listów do ukochanego Leo. W roku 1906 rozeszła się już z nim ostatecznie. Ma za sobą przepowiadane sobie sukcesy. Ma za sobą wzloty i upadki, błędy i osiągnięcia. Pisze do przyjaciół w Polsce i w Niemczech: „Przywódca w wielkim stylu nie opracowuje taktyki na podstawie chwilowych nastrojów mas, lecz opiera się na spiszonych prawach rozwoju, wbrew wszelkiemu rozczarowaniu, a resztę pozostawia historii”. Od historii nie można się oddalić. Nie można zamknąć się w kręgu teoretycznych rozważań. Historia przenika każde działanie i miesza się ze zwyczajnym codziennym życiem, o którym Róża myślała kiedyś, że jest „gdzieś

nał. W tym samym czasie zamordowany został Karol Liebknecht i inny działacz SPD — Leon Jogiches-Tyszko.

O tym wszystkim nie ma już mowy w spektaklu Haliny Słojewskiej. To epilog dopisany przez historię. Jest tylko ascetyczna scenografia i samotna aktorka, narzucająca w przedziwny sposób swoją osobowość. Bez afektacji, bez ozdobników i pięknych gestów. Nie jest to po prostu sugestywna recytacja umiejętnie dobranych i skomponowanych urywków listów, najbardziej intymnych i najbardziej znaczących. To cała, rozegrana od początku do końca, tragedia. Historia niezwykle miłości i niezwyklej odwagi, rezygnacji i zapału. Tragedia namiętności i obowiązku bez Corneilowskiego pięknego wiersza i królewskiego przepychu dekoracji. Tragedia zawarta w listach kobiety, która była doktorem ekonomii i przywódcą robotniczej partii, która przeszła na zawsze do historii. I która obroniła swoją kobiecość, swoje prawo do ciepła i uczuć poprzez listy pisane tylko dla najbliższych. Listy mało znane i nie wydane dotychczas w całości. Słojewska przeczytała listy Róży Luksemburg drukowane w „Polityce”, potem dotarła do obszerniejszych wydań. Wreszcie — do rękopisów.

teatr

„WYBIERAM ODWAGĘ”

JAN KŁOSSOWICZ

daleko... za dachami jej podwórza”. Zmęczona kobieta wstaje z więziennej pryczy; zaczyna mówić, mocniej i pewniej niż kiedykolwiek przedtem: „Wstępuję na rewolucyjną arenę świata. Jest to czyn o światowym znaczeniu, a sześć miesięcy w okresie rewolucyjnych walk daję większe wykszolenie robotniczym masom niż dziesięć lat zebrań i odezów... jestem zawsze na posterunku i przy następnej okazji znów uderzę dziesięcioma palcami w klawisz fortepianu świata, żeby aż zadudniło”.

Róża Luksemburg przeżyła szczytowy moment swojej działalności rewolucyjnej w roku 1918. W rok później, zamordowali ją po bandycku oprawcy z Freikorpsu, a jej ciało wrzucono do berlińskiego ka-

Z ogromnego materiału wybrała te, które mówiły najwięcej o kobiecym uroku i kobiecej odwadze. Powstało jedyne w swoim rodzaju przedstawienie. Niedarmo pokazane w najbardziej „kobiecej” fabryce w Warszawie. Można w nim znaleźć potwierdzenie znaczenia wyboru pomiędzy odwagą a tchórzostwem, pomiędzy taką lub inną wartością ludzkiego działania i ludzkiej postawy, której znaczenie mierzy się odpowiedzialnością wobec życia i wobec historii.

Teatr im. S. Jaracza w Olsztynie — „Wybieram odwagę”. Widowisko na podstawie listów Róży Luksemburg opracowała Halina Słojewska. Reżyseria: Wanda Laskowska. Scenografia: Zofia Pietrusińska. Premiera w sezonie 1965/66.



Halina Słojewska: Bez afektacji, bez ozdobników
Fot. Jerzy RUDKE